Ner 15. Kraków, 15go Kwietnia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie	6 zł. —	c. w. a.
Półrocznie	3 „ —	
Kwartalnie	1 „ 50	„ „ „
Miesięcznie	— „ 50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie	10 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie	5 „ 10	„ „ „
Kwartalnie	2 „ 55	„ „ „
Miesięcznie	— „ 85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie	7 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie	3 „ 60	„ „ „
Kwartalnie	1 „ 80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie	11 zł. 40	c. w. a
Półrocznie	5 „ 70	„ „ „
Kwartalnie	2 „ 85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O Dobroczynności.

Słynny jest Kraków z dobroczynnych zakładów, ochronek i klasztorów. Największa część przeszła na nas w spuściźnie. I dzisiaj jednak słyszymy i czytamy wiele o paniach, chodzących w Krakowie około sprawy dobroczynności. Istotnie bowiem chodzą damy po domach i hotelach z kwestą na ochronki i domy przytułku. O ile w tych zakładach ochronione są dzieci ubogie przed głodem tak ciała, jak i duszy; ile jest serca w tem całem zajęciu się ze strony głośnych dobroczyńców, czy osoby, zbierające kwestę, własną oszczędnością dają zachętę innym do pomnożenia składek; ile w tem wszystkiem jest fanfaronady, czy zbytnia jawność w tych pracach nie jest pewnem faryzenszostwem, i czy natrętne prawie odzywanie się do publiczności w tych sprawach, nie jest tylko parawanem dla zasłonięcia siebie samego? są to pytania, na które opinia może już stanowczo... a wcale niekorzystnie odpowiada. Dobroczynność; nieubliżająca, i opieka serdeczna nad opuszczonemi dziećmi: są to cnoty przypadające może najwięcej do usposobienia kobiety-obywatelki. Lubią też panie nasze, żeby je z tego względu chwalono. Dla tego my zapisujemy tylko owe, niesłuszne zapewnie, głosy opinii... jako przestrogę.

Dla zachęty zaś w chwalebnych usiłowaniach, i na dowód, że łaskawy chleb i łaskawe słowo dla ubozszych i ciemniejszych jest istotnie obywatelską pracą, podajemy pismo, jakie wystósował Garibaldi do kobiet włoskich, które swoją zabiegliwością i pracą publiczną szkołę ludową w Torre del Greco pod Neapolem założyły:

„W imieniu ojczyzny naszej winien wam jestem słowo najpiękniejszej wdzięczności.

Nad wszystkie mnogie dobrodziejstwa wasze jaśnieje fundacya zakładu w Torre del Greco, gdzie synów ubóstwa przyjmujecie, karmicie, pożywiacie *i do obowiązków obywatelskich kształcicie!* Wkrótce wzniesiecie jeszcze wiele takich zakładów, a najprzód w Palermie, *potem zaś wszędzie, gdzie tego nędza wymaga.* Niech was Bóg błogosławi, was niewiasty z sercami aniołów, was i wasze wspólniczki z obczyzny, co tak miłościwie i szlachetnie zaczęły dzieło święte, i nad niem nadal pracują. Chcecie ojczyznie przywrócić ów najwyższy chrześcianizm, który oszustwo i egoizm w kał wtrąciły. Tak jest: od tego dnia, w którym zamożni uznają w ubogim brata swego, będzie koniec wszystkim owym strasznym a nieuchronnym rewolucyom, które od czasu do czasu przerażają ludzkość i rany jej zadają. Przeto więc, zacne panie komitetowe, rozszerzajcie nadal dobrodziejstwa koła naszego aż *do najodleglejszej chaty półwyspu, gdzie potrzeba ich niezawodnie w wyższym jeszcze stopniu da się uczuć.* Ja zaś schylam czoło najuniżeniej przed zbawczyniami ludu mego, łożącemi zasługi około całej ludzkości.“

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

II.

Spojrzyjmy teraz na dwór węgierski. Przypatrzmy się z bliska tej pięknej dzieweczce, której imie, w pierwszym naszej rozprawki rozdziale, już tylokrotnie samemi burzami i niepokojem otoczone, jaśniało przepowiednią bliskich spełnień swego przeznaczenia. Cóż tam młoda porabia Jadwiga?

„Kształtna ta, urodziwa i wspaniała“ dzieweczka prawdziwą ozdobą była ojcowskiego dworu. Najpobożniejszej matki córa, w zasadach wiary katolickiej głęboko kształcona, rosła, jak piękne kwiecie, ku świetnej ozdobie przeznaczone — aby kiedyś urość w ową śliczną i wspaniałą palmę, która dwóch wielkich narodów braterstwa miała stać się zwycięztwem. Zaiste, śliczną i uroczą wyobrażać sobie musi każdy młodziuchną naszą Jadwigę, kiedy najzimniejsi kronikarze nieszczędzili jej najpochlebniejszych pochwał w swych opisach. Posłuszna i nabożna, chociaż nie zawsze w rodzinnem mieście i nie ciągle pod okiem rodziców, wzrastała piękna królewna na wielką światu pociechę. W młodocianą jej duszę wradzały się, dobrą opieką i miłością matki wpajane, te wszystkie piękne i wzniosłe cnoty, któremi sobie później na miłość wielkiego narodu zasłużyła. Lecz czemuż niestety! to jej niepokalane i w świętym spokoju płynące życie tak wielu niegodziwą natchnęło przeciwko niej krytyką. Wszakżeż ośmioletnia dziecina niema jeszcze ni woli do działania, ni rozumu do rozbioru uczynków swoich? A przecież sercu jej młodocianemu zaślepieni anatomowie uczuć ludzkich przypisują już na tę właśnie porę miłość — i to miłość zapaloną, ogromną, dozgonną? Mogłaż ośmioletnia dzieweczka taką miłością pokochać kogo, prócz rodziców? Posłuszeństwa jej bez granic nie godzi poczytywać się nierozważnie za miłość.

Lecz taka to jest dola owych wszystkich dzieciątek, do których kolebki schylają się głowy ukoronowane. Ani wiedzą, ani myślą, ani czują: kiedy o ich losie dyplomatyczne

zapadają umowy, i te umowy potem, bez względu na to, jak zostały ułożone, poczytywane bywają za modłę do ocenienia charakteru niemowląt.

Tak było z Jadwigą. Ludwik, król węgierski, stojący w ważnych dyplomatycznych stósunkach z Leopoldem, sąsiadem swoim i przyjacielem, dla utrzymania i nadal przyjaznych węzłów między dwoma ościennemi państwami: Austryą i Węgrami, zawarł był w roku 1378 z Leopoldem umowę, mocą której syn cesarza, Wilhelm, z córką króla węgierskiego, Jadwigą, zaślubieni ze sobą zostali. Łatwo dojrzy każdy, że w takim związku ślubnym najmniejszego nie miały udziału osoby interesowane tj. Jadwiga i Wilhelm... że serca ich, w których prawdziwe uczucia żyć jeszcze nie mogły, bo oboje mieli po lat ośm, nie mogły się wzajemnością ze sobą połączyć, i że akt ten—który wiele późniejszym, a mianowicie najnowszym pisarzom, był wielkiej złośliwości podszeptem—był tylko czczą zupełnie formą, na karb jednej ni drugiej strony nie mogącą być liczonym. Zaślubiny Jadwigi z Wilhelmem—których młodziuchna królewna z pewnością nie rozumiała ani czuła, chociaż znała się z arcyksiążęciem rakuzkim, chowając się z nim wspólnie w Wiedniu—odbyły się za życia Ludwika jedynie tymczasowo, i dopiero na czas późniejszy odłożonem było zawarcie rzeczywistego związku między dorastającemi młodzieniaszkami. Zaślubiny te, odbyte w Haimburgu, mocą których Leopold zobowiązał się za Wilhelmem wyliczyć w posagu 200,000 czerwonych złotych — nie miały jednakże żadnej ważności prawnej, i każdą okolicznością ważniejszą mogły być zerwane. I tak się też rzeczywiście z niemi stało. Najpierwszą ich rozchwiania przyczyną było zwichnięcie właściwego ich celu. Jakeśmy to już wyżej powiedzieli, Ludwik dla tego wszedł w umowę o związek dzieci z Leopoldem, aby Jadwiga została królową węgierską i w pobliżu Austryi panowała z Wilhelmem, a Marya miała być wtedy królową polską. Gdy zaś z powodu wiadomych nam z poprzedniego rozdziału okoliczności, w skutek rozdzielności bereł, węgierskiego i polskiego, Jadwiga, a nie Marya, na tron polski była przyjętą i potwierdzoną: Wilhelm jako cudzoziemiec, ku któremu, jako i ku Zygmuntowi, mężowi Maryi, Polacy byli niechętnymi, nie mógł już spodziewać się przyrzeczonej sobie ręki pięknej Jadwigi, o którą się też właściwie nie on, lecz jego ojciec, był starał. Jednak, prócz tej ważnej okoliczności, było także do zerwania stósunków Jadwigi z Wilhelmem przyczyną i to, że matka jej, gorliwa katoliczka, stale prawowitego trzymając się papieża *Urbana VI*, obudziła ku sobie niechęć w Leopoldzie, który właśnie stanął po stronie nieprzyjaciół prawdziwego papieża, i wpisał się w poczet obrońców *Klemensa* antypapieża. Gdy więc Elżbieta z jednej strony poznała, iż Jadwiga Polsce przeznaczona z Wilhelmem złączyć się nie będzie mogła, a z drugiej strony niechętny jej Leopold dla widoków politycznych nie chciał z nią w żadne ściślejsze wchodzić związki, zaślubiny przeto, w r. 1378 zawarte tymczasowo w Haimburgu, spełzły na niczem, i uroczystość połączenia młodej pary na rok 1384, na zielone świątki przeznaczona, nie przyszła wcale do skutku, i na nieograniczony czas odłożoną została, mianowicie z tego powodu, iż się żadna strona o jej dopełnienie nie upominała.

Jak więc każdy widzi, zaślubiny Jadwigi z Wilhelmem były tylko prostym targiem rodziców, a nie stósunkiem uczucia serc młodocianych.

Gdy więc o niczem, prócz obowiązków swoich dziecinnych, nie wiedząc piękna Jadwiga, coraz uroczej rozwijała się we wdziękach i cnocie—w Polsce właśnie pod te czasy, w których jej zaślubiny z Wilhelmem odbyć się miały, postanowiono posadzić ją na tronie Piastów. Z jakąż skromnością, z jakiemże zarumienieniem przyjęła młoda królewna to miłe sercu jej uwiadomienie, że naród cały, tak wielki i tak pełen chwały, życzy sobie ją ukoronować na króla. Wtenczas zapewne po raz pierwszy uderzyło w jej łonie serduszko, i myśl w maleńkiej główce poigrała niespodziewaną przyszłością. Wiemy już, że Elżbieta nie miała nic przeciw woli narodu polskiego, i że wyznaczyła nawet termin przybycia do Polski swej młodszej córki. W Polsce jednakże wszczął się nowy spór ze Ziemowitem, który, nie mogąc przekonaniem, chciał nareszcie przemocą rękę Jadwigi pozyskać. Naród tego nie chciał, i w myśl jego polityki nie chciała także tego i Elżbieta. Z tego też powodu, jak również i dla młodociannego wieku, bo 12 lat liczącej Jadwigi, przyrzeczony przyjazd jej do Polski kilkokrotnym uledz musiał odwłokom, pod czas których tyle tylko dla obydwóch stron wynikło korzyści, iż Ziemowit, marnych usiłowań swoich nie mogąc w żaden sposób uwieńczyć, już nie z takim uporem trzymał się swego przedsięwzięcia, jak przedtem. Przedtem bowiem, zwyczajów owoczesnych przepisem, nie mogąc łagodnością ręki Jadwigi pozyskać, postanowił posiąść ją przemocą i napadem. I w tym też celu zebrał był już zbrojne hufce sprzymierzeńców pod Sądczem, wiedząc, iż na to miasto Jadwiga miała do Polski drogę swą skierować. I z tego też powodu wstrzymywała się Elżbieta z Jadwigą, niechcąc Ziemowitowi dopomagać w zamiarach, przeciwnych woli narodu. Z drugiej zaś strony zwłoka nadesłania Jadwigi ten zły za sobą pociągnęła skutek, iż Ziemowit, parę razy w oczekiwaniach swych na nią zawiedziony, tracąc nadzieję posiadania tronu przez małżeństwo, jął się środków zdobycia go bez Jadwigi. W tym celu rozpoczął wojenne kroki i zabory. I powodziło mu się z początku bardzo szczęśliwie. W Kujawach dużo pozabierał zamków. Z Wielkopolan i z całego narodu mnóstwo drobnej szlachty pod jego chorągwie się zaciągnęło. W Sieradzu, na uroczystym z wszystkich stron Polski zjeździe, obwołanym był już prawie królem; ale dla braku korony, nie mógł jej na swoje skronie przywdziać. Z tego więc powodu obawiający się wzrostu Ziemowitowego, szczególniej Małopolanie udali się do Elżbiety z prośbą o pomoc przeciw jego usiłowaniom, i o jak najprędsze przysłanie Jadwigi. Wkrótce nadeszły hufce węgierskie, i dowodzący niemi margrabia Zygmunt musiał walczyć przeciw sprzymierzonemu niegdyś z sobą Ziemowitowi. Widząc zaś Elżbieta, iż dalsze ociąganie się z Jadwigą, naród cały urazić by mogło, i gdy prócz tego, po kilkakrotnie zerwanych terminach, w których już z pewnością miała królewna przybyć do Krakowa, wysłano do niej ostateczne upomnienie o dotrzymanie przyrzeczeń, pojęła nareszcie konieczność zadośćuczynienia woli narodu polskiego, i stanowczo na październik 1384 r. przyrzekła wjazd Jadwigi do Krakowa.

Młodziuchne serduszko pięknej królewskiej dzieweczki przeczuwało więc przyszłość swoją. Jadwiga, widząc już zbliżającą się chwilę przyjazdu swego do stolicy Polski, którą znała, gdy nad nią jeszcze jej ojciec nieboszczyk panował, czuła zapewne gorącą miłość dla tego narodu, który ją miłością dla jej ojca i czcią jego pamięci na tron swój powołał.

Jeżeli nie rozumiała dokładnie dlatego, że młodzieńcze jej latka doświadczeniem wzbogacić jej nie mogły, to przeczuwała niezawodnie wielkość i ważność tego stanowiska, które miała niezadługo zajmować. Troskliwość dobrej jej matki, pobożnej i szlachetnej Elżbiety, daje przypuszczeniu naszemu rękojmię niepłonną, że ta zacna Węgierska królowa mądremi nauki i przekony-

wującemi przykłady przygotowywała Jadwigę do godnego wstąpienia na tron polski. Najpierwszem uczuciem, jakie się w sercu młodej królewny zrodziło wtedy, gdy o obiorze swym uwiadomioną została, była niezaprzeczenie szczera i drogocenna miłość do narodu, który ją do siebie powołał, i wdzięczność za cześć pamięci jej ojca oddaną. A to też najważniejsza podstawa dobrej dla kraju przyszłości, gdy jego władzca z miłością wdziewa koronę na swe skronie. Gdy zaś do tego dodamy i świętą katolicką wiarę, w której Jadwigę pobożna Elżbieta gorliwie wychowywała, to z dwóch tych najwznioślejszych uczuć serca ludzkiego: z miłości dla narodu i wiary w Boga, odgadnąć będziemy mogli najpiękniejszy skarb duszy człowieka.... i z nim w Jadwidze rzeczywiście ową „poranną gwiazdę“ dla narodu polskiego poznamy, Bogu najwyższemu składając za nią dzięki, jako za odrodzenie przyćmionego na chwilę blasku królewskiej powagi, jako za wskrzeszenie z ostatnim Piastem złożonej w grób świetności i potęgi władzy koronowanej.

W miłości i w świętej wierze modliła się zapewne piękna Jadwiga w tej chwili, gdy jej matka ostatnie postanowienie swoje orzekła, i ostatni termin podróży do Polski wyznaczyła. Modlitwę gorącą jej poczciwego serca przyjął Bóg, jako szlachetną ofiarę duszy czystej, i spojrzał na naród, któremu ulubioną sobie, jako anioła opiekuńczego, posyłał — spojrzał miłosierdziem i łaską, błogosławiąc mu we wszystkich sprawach jego, podjętych ku rozszerzeniu świętej wiary i uczczeniu najświętszego imienia.

(C. d. n.)

Z HAJNEGO.

NA GÓRZE BROCKEN.

Już od wschodu dzień bieleje
I różowa płonie zorza,
I gór szczyty na około
Płyną dumnie wśród mgły morza.

O! gdybym miał krok olbrzyma:
Wiatru pędem, biegłbym gnany,
Przez wysokie gór tych szczyty
Do dziewczynki ukochanej;

Z nad łóżeczka, gdzie spi mile,
Lekko zsunąłbym zasłonę,
Cicho czółko jej całował,
Cicho ustka rubinowe;

Cicho, ciszej szeptał jeszcze
W liliowe uszka małe:
Niezapomnij o mnie luba,
Niech serduszko będzie stałe.

XXXIII.

Wśród nagich skał świerk stoi,
Na północ, sam jeden, wśród chłodu,
Zasnął marząc pod przykryciem,
Pod przykryciem śniegów i lodu.

Śniło mu się o palmie wysmukłej,
Co na wschodzie, gdzieś tam sama stała,
I... na skale gorącej oparta,
Milcząc smutnie, głęboko dumała.

M. B.

KSIĄDZ MAREK.

(JULIUSZA SŁOWACKIEGO).

(Ciąg dalszy).

Kreczetnikow i Branecki stoją w dramacie w głębi, na trzecim dopiero planie; przecież wystąpienie ich jest konieczne. Są to ostatnie wrogie potęgi, występującej przeciw głównemu bohaterowi—nie już przeciw jego osobie jak Kosakowski; ale przeciw sprawie, której broni. I te charaktery, narysowane z prawdą i siłą, z drobnemi odcieniami różnie. Kreczetników, żołnierz i nic więcej... przecież na widok cudownych spraw księdza Marka budzi się w nim uczucie głębsze, religijne, lubo przyćmione, spaczone zabobonem. Istny reprezentant swego narodu, co umie i modlić się pokłonami do najświętszej Panny i... krająć jej obraz szablami, gdy jego prośb niewysłucha. W końcu dramatu zobaczymy jeszcze jedną stronę jego serca uczuciem drgającą, zobaczymy go jako ojca, co drży o życie swej żony i rabiaty, pojmanej przez konfederatów. Inny jest Branecki. Człowiek, co przeciw własnemu narodowi idzie, musiał utracić i te uczucia nawet, jakie ma nieokrzesany wróg. Więc drwi z litości Judyty, co prosiła by ludzi szanowano w Barze; więc drwi ze słów, z poświęcenia ks. Marka... i biczować go każe; nawet wtedy—gdy na Sybir z księdzem pędzona kibitka rozbiła się o skały, i pośród trupów ksiądz się został cały i wrócił do Baru wyraźnym cudem ocalony, gdy za mękę księdza Bóg zarazą trapi Bar, i zlękniony, zabobonny jenerał rosyjski widzi w tem dziele palec Boży i z Baru chce uciekać — Branecki, niemając nawet odrobiny ducha w sobie, drwi z tego lęku i z tej wiary Kreczetnikowa. To nieposzanowanie najpiękniejszego uczucia w człowieku, wiary w istność Boga i w karę Bożą — obraża Kreczetnikowa i rzuca się na francuskie fanaberye, na Braneckiego podłość. Branecki chce z godnością i z taktem wycofać się z pod obelg Moskali:

Niech pan jenerał się niezrywa:
Bo ja także hetman jestem,
A jestem tu w moim kraju.

A czemu ty z naszym chrestem?

pyta go Kreczetników w passyi...

Naszego dworca lokaju!

Kreczetników staje tu moralnie wyżej nad Braneckim, o ile najezdca od zdrajcy wyżej stać może. To upokorzenie przez tego, dla którego walczył, a przytem gryzące sumienie, to jedyna kara dla odstępcy Braneckiego — kara niemała.

Z nim niespotkamy się już więcej w dramacie.

Powiedzieliśmy poprzednio, że w chwili wejścia Moskali do Baru jest punkt przesilenia — zemsta żydówki łamie siłę świętego męża, gdy już zwyciężać zaczynała; odtąd sprawa Baru upada, broń wypada z rąk księdza, i on pokonany, złamany jako człowiek chyli się wciąż do upadku; ale idea, której on posłannikiem, tj. rozbudzanie i żywienie w sobie i w drugich ducha Bożego, aby ten duch zwyciężył i szczęście ludzi ufundował — ta idea zwycięża, i im bliżej upadku ksiądz Marek, tem duch jego bardziej olbrzymieje, potężnieje i zwycięża. Zwycięztwo coraz większe i rozleglejsze. Widzieliśmy najprzód jak przed tą potęgą ducha korzy się Judyta, co, chwilową zemstą zapalona, zbuntowała się przeciw niemu. Teraz w początku aktu trzeciego Kosakowski toż samo robi.

Nieszczęścia kraju, upadek Baru, męczeństwo ks. Marka, łamią szlachecką buńczuczność, budzą skruchę w sercu Kosakowskiego, bo (jak sam mówi):

Przezemnie, ten ksiądz stary,
Odbieżany, szedł na boje,
Jak ptak bez jednego skrzydła—
. . . .
Ja zbieg, zdrajca jego szyków.

I teraz pokutą gładzi grzechy stare, i ten szlachcic, co trząsł sejmikami nie według słuszności sprawy; ale według osobistych widoków—ten szlachcic, co psa, chłopa i żyda zarówno uważał; co pił, hulał: dziś w smolnej koszuli jak szpitalny sługa grzebie zadżumionych, i tą pokorą i poniżeniem chce zabić w sobie starą, szlachecką dumę i buńczuczność; czuć w nim budzącego się ducha Bożego, i mówi o ks. Marku:

Przysiągłem . . . .
Że, choć sam wyklęty,
Zbawię go, albo tu zginę.

Ale przecież zostało w nim trochę starego człowieka, gdy się odgraża na żydówkę, że Bar wydała, a niepamięta, że to jego nieprawość skusiła zemstę żydówki do zdrady. Zejście się z żydówką, jej łzy, jej smutek za księdzem Markiem, gaszą jego zemstę. Oboje teraz jedną myślą złączeni radzą nad wyzwoleniem księdza. Tu Judyta jest znowu tylko żydówką, choć przyjęła sakramenty i ma imie Salomea — jest córką tego ludu, co umie kochać ale i mścić się, i zemstą znowu chce ocalić księdza, jak go zemstą zdradziła:

. . . Miasto dziś podpalę,
Ogień włożę pod szpitale;
Aż chorzy wyjdą z płomieni,
I o księdza będą prosić.

Kosakowski, katolik, niepojmuje tej zemsty — on pojmował: napaść, złupić; ale takiej zemsty się przeląkł, i woła:

Co ty mówisz? — Jezu Chryste!
Szpital palić!

Judyta.

Nu — a oni?

W tych wyrazach widzi Judyta całe usprawiedliwienie swego czynu:

Nu — ja nie Polka — ja mściwa,
Ja żydówka — ja Judyta.

Do tej piękności straszliwej Kosakowski czuje pociąg jakiś — to także przemiana wielka, to także zwycięztwo ducha. W pierwszym akcie, kiedy żydówka! jak przed drugim Machabeuszem klękała przed nim, by mu zzuć buty z nóg, on ją odepchnął i kopnął—tak czemś podłem, nieczystem wydała mu się żydówka. Potem oczarowany pięknością jej ciała, zapala się ku niej ziemską, brudną namiętnością; teraz i ta namiętność ucicha, i on powiada: ja się z tobą żenić gotów. Więc i nierówność stanu i podłość urodzenia nie staje przeszkodą myślom szlachcica, i znowu jeden stary przesąd zabił w sobie. Ale pomiędzy niemi staje przeszkodą trup ojca Judyty, i ona nie chce jeszcze łączyć się z zabójcą ojca, i mówi:

A jak jego duch zobaczy?]

Kosakowski.

W jakiej ty żyjesz krainie,
Że o trupach ciągle gadasz?

Judyta.

Czy ty wojnę wypowiadasz
Wszystkim duchom Izraela?

Wierzy więc Kosakowski w moc ducha, gdy ten się w ciele, w czynie objawia; wierzy niewiedząc o tem, niezdając sobie z tego sprawy — a że wierzy, dowodem jest stosunek obecny do księdza i do żydówki; ale w duchy zaświatowe nieumie jeszcze patrzeć jak tamci. Judyta świat ducha ma ciągle widny przed sobą, i duch ojca odpycha ją od ślubnego kobierca z Kosakowskim. Stary więc grzech szlachcica niepozwala mu jeszcze łączyć się z żydówką; ale ona mu wierzyć każe, że „powróci z całym dawnym Izraelem, i przyjdzie czas na jej ducha“ i ona kiedyś modlić się będzie za jego szczęście. *(Dok. nastąpi).*

OBYCZAJE STAROPOLSKIE.

(Zobacz Nr 2, 3 i 6).

III.

Popielec — Wielki-post — i Wielki-tydzień.

Po skończonych zapustach, pełnych wrzawy i śmiechu, z największą pokorą i uległością przystępowano do święcenia Wielkiego postu, do którego, rzekłby jaki luter, jakoby Dantejską bramą do piekła była środa popielcowa: *„Per me si va nel eterno dolore — Lasciate ogni speranza voi ch' intrate.“* — Zaprawdę bramą do smutku i postu była dla przodków naszych *środa popielcowa.* Posłuchajmy, co o niej znakomity pisze poeta, (Kasper Miaskowski):

Zeszła noc, a miedź święta*) woła do popiołu
Od mięsa, od muzyki i hojnego stołu!
Jedni idą zwiesiwszy, do kościołów, głowy,
Którym w komży ksiądz sypie z temi popiół słowy:
Pamiętaj to, żeś z prochu powstał, i zaś w ziemię
Rozsypiesz się i wrzucać do kośnice ciemię (tak).
I tak idą skruszeni do domów w południe,
Po mszach i litaniach, a znać nie obłudnie,
Bo, zjadłszy żur, kapustę i moczone śledzie,
Wstaną zaraz od stołów, i... już po obiedzie.
Ale u drugich (a kto tak wiele policzy),
Jeszcze skrzypki i dudy słychać na ulicy;
Ci gonią dziewki, co je w kloce zaprzęgają,
A one się nie bardzo widzę ociągają;
Ci chłopa, w grochowiny ubrawszy, prowadzą,
A do której gospody wprzód iść mają, radzą;
Ten w kuflu drożdże dźwiga, ów gorzałkę mańką
Pokazuje wysoko i potrząsa bańką;
Ci krzyczą, odprawując mięsopust szalony,
Wabiąc drugich do ordy (?), cnotą ustalony;

*) Dzwon.

I tak, w koło wesołe odprawując śmiechy,
Nawiedzają, gdzie jedno zielone tkwią wiechy.
Tam znowu wszyscy siędą w nieporządne rzędy,
Powiesiwszy delie, bo ciężą, na grzędy.
A tam już więc dopiero, tak jako na zgonie,
Co jedno tchu dostawa, każdy w piwie tonie.
Obrotna się kaczmarka po izbie uwija,
Talerz niosąc z kreskami, gdzie się w rząd dopija;
A złożywszy on piwny bracia pobór w zgodzie,
Znowu każą kucharce na piwnicznym schodzie,
Żeby piwo nosiła, a ta im rozmiary
Na stół stawia przed oczy, dla pewniejszej wiary.
Zatem, kto chciw na karty, i kostek, się kręci,
Pobaczą to dwaj, wnetże i przyczynią chęci;
Dadzą mu wziąć raz, drugi; lecz po krótkiej wojnie
Odda im to sowicie, i nagrodzi hojnie.
Ale już dzień ucieka w kraje im podziemne,
A noc skrzydła rozciąga wszędzie na kraj ciemne;
Więc z łuczywem na komin, nie maszli łojowej,
A ty strzeż gospodarzu, radzę, panny Ewy,
Bo niepewne drugie masz widzę tu chłopięta,
Co na zwierz sieci niecą w te wielebne święta;
Rozwódź i te, co od słów do dzbanków się mają,
A już na się zębami ledwie nie zgrzytają;
Tych hamuje; ale ów u stołu drugiego
Oblał się krwią w poswarku od razu tęgiego;
Ale i ten nie uszedł sam z pokoju cały,
Bo go guzy od kija i pięści potkały...
I tak ona biesiada trwała w noc głęboko,
Aż na niebie błękitnem widzieć wóz wysoko,
I Plejady złociste i pozorne Kosy,
Kiedy raszym niestało i piwa i groszy.

Przytoczyliśmy tu w całości wiersz Kaspra Miaskowskiego, bo w nim nakreślone są wszystkie odcienia tego staropolskiego obyczaju, którym niegdyś zabijano zapusty, i do wielkiego postu przystępowano. Po dworach, prócz tego, odbywały się przed północą ostatniego dnia zapust biesiady ochocze, na których i księża pozwalali sobie uciechy i żartów. Tak więc przemawiali do biesiadników o nadchodzącym poście, a przemowy, takie, zwane *kazaniem o śledziu*, miały bardzo wiele dowcipu i humoru. Zupełnie w charakterze ubiegłych czasów skreślił Zygmunt Kaczkowski w Murdelionie takie kazanie przedpostne, i językiem nawet malujące nam wiernie obyczaje staropolskie. Jak zawsze, tak też i przy tym obyczaju, wiele bardzo przechowało się jeszcze dotąd zabobonów, sięgających przedchrześciańskiej epoki. Bogata szczególniej w zabobony Litwa, miała w tym obyczaju tę u siebie ważną osobliwość, że „przy końcu zapust na ostatnią potrawę dawano tam mleko, rzucano je warzęchą na powałę, a z figur wróżono przyszłe zdarzenia.“ W całej zaś Polsce w środę popielcową odprawiały się sądzenia mięsopustu, zamiast którego stawiano bałwana w kajdanach, różne z nim czyniono uciechy i ścinano go potem. „Przypinano klocki pannom i kawalerom; na pijatyce czas trawiono, dla popłukania ust jakoby.“

Gdy się jednak to wszystko skończyło, przystępywano do święcenia postu wielkiego z całą pobożnością polską, tak wielce nas od innych narodów odróżniającą. Modlitwa i ostry post, bicze i umartwienia zastąpiły kulig i bankiety. W żadnym kraju nie zachowywano tak ściśle i tak surowo długiego przedtem, bo dziewięć tygodni trwającego postu. Dla ważnej przyczyny tylko, wyjątkiem, poszczono środę, piątek i sobotę; w ogóle zaś cały czas ten nie używano mięsa, tylko rybne co najwięcej jedzono potrawy. Do potraw, miast masła, używano oleju, który wybijano z siemienia lnianego, konopnego, z maku i migdałów“ — Z tej też okazyi wszyscy kronikarze powtarzają o nas anegdotę, którą tu i my przytaczamy. Uwiadomiony Papież o surowości Polaków w zachowywaniu postu, i wiedzący, że w kraju naszym oliwa się nie rodzi tak, jak we Włoszech, zapytał się raz obecnych w Rzymie posłów z Polski, czy mają oliwę do postu? Zapytani, myśląc, że mowa o oleju prostym, odrzekli: „o mamy dość, tak nawet obficie mamy, że do wozów używamy.“ „Kiedy macie, odrzekł na to Papież, to pośćcie...“— Gdy jednak zbyteczna ścisłość w postach zaczęła zdrowiu szkodzić, synod biskupi rozważywszy „rzecz wszechstronnie“ skrócił czas wielkiego postu, zamiast dziewięć tygodni wyznaczając nań siedm.

Na synodzie biskupi post wielki skrócili,
Który był dziewięć niedziel, na siedm położyli.

W nieoszacowanym Kitowiczu mamy szczegółowe opisy dawnych postnych objadów. Mówi ten kapłan, że one szły tymże porządkiem co i mięsne, a że wtenczas Polacy ściśle zachowywali posty, nie obaczył u żadnego pana na stole maślanej potrawy; ale wszystko z oliwą lub olejem. Skoro się nacisnęło do Polski kucharzów Francuzów, i rodacy wydoskonalili się w kucharstwie, zniknęły potrawy proste, a nastąpiły na ich miejsce jak najwykwintniejsze, jako to zupy rumiane, zupy białe itd. Miód praśny, powszechnie ze wszystkich kuchni pańskich i szlachty majętnej został wywołany, na jego miejsce nastąpił cukier. Cytryny były już za Augusta III powszednie, i gdzie przedtem nadrabiano octem, tam potem robiono kwasy z cytryn. W poście bywały objady rybne. Jednę połowę ryb rozmaitych gotowali w kotle na smak z przydatkiem rozmaitej zieleniny, w tym smaku dopiero gotowali ryby, które się miały prezentować na stole, przeto były arcysmaczne. „Niektórzy kucharze, pisze ks. Kitowicz, żeby się lepiej popisali z doskonałością swoją, gotowali ryby w sosie mięsnym, a do karpia kładli na spód słoninę, czyniąc to wtenczas, kiedy nikt nie widział, i na wydawaniu kryjąc zdradę, aby nie była postrzeżona.“

Kasper Miaskowski w ten znowu sposób rymuje postne potrawy:

Co gotują węgorze, śledzie, szczuki w soli,
Wyzinę, łosoś, karpie brzuchom na post gwoli:
Ci nie myślą potężnie z ciałem wstąpić w szranki,
Ale kuflem dwóuchym szlamować chcą dzbanki.
Bo jako te nie mogły nigdy być bez wody,
Niż je z niej wyciągnęły konopne niewody:
Tak po śmierci solone brzydzą się nią zasię,
Ale piwo i wino każą nosić na się.

Jestto to samo co się w łacińskim języku określa przysłowiem: *„post pisces, vinum misces“* — po rybach pij wino.

Prócz postnego jedzenia, charakter wielkiego postu polegał jeszcze i to szczegółowiej na modlitwach, jałmużnach, odwiedzaniu chorych, biczowaniu i różnych umartwieniach. Po miastach przesiadywano dnie całe w kościołach, obchodzono pasye i przysłuchiwano się kazaniom do spowiedzi i pokuty wzywającym.

Na środę, wypadającą w środku wielkiego postu, czyli na tak zwany środopust, przypadał znowu obyczaj, dzisiaj zupełnie zarzucony, a to mianowicie dla niewygody i nieprzyzwoitości z jaką był połączony. Przechodzącą jaką panią, pannę lub kawalera napastował jakibądź chłopak na ulicy, rzucając im pod nogi „garnek, popiołem suchym napełniony,“ który, tłukąc się, obsypywał suknie i nieraz twarz całą nieprzyzwoicie. Rzucający taki garnek wołał junacko: „Półpoście Mościpanie! — Mościa pani lub panno!“

Największą jednak ścisłość postu i nabożeństwa zachowywano w ostatnim t. j. Wielkim-tygodniu postu. Obrządki tego nabożeństwa po dziś dzień niemal wszędzie obchodzą jeszcze. Rzecz ta bardzo za nami przemawia, że w tradycyi religijnej obyczajów staropolskich utrzymujemy się jeszcze dotąd jako tako, mimo wielkiego w innych względach odpadnięcia naszego od przeszłości. Właściwością to jest naszego charakteru, którego cechą jest i była: religijność.

Wielki więc tydzień poświęcano rozpamiętywaniu męki Chrystusa Pana. Od poniedziałku wielkiego kościoły od rana do wieczora napełniała pobożna publiczność. Stacye, zawierające obrazy z historyi męki Pańskiej, a zazwyczaj w kaplicach w pobliżu kościołów umieszczone, obchodzono na klęczkach, wśród modlitw i koronki świętej. We wielką środę odprawiała się w kościele jutrznia, tak zwana ciemna, dla tego, że za każdym psalmem gaszono po jednej świecy; po niej zaś na znak tego zamieszania, które powstało przy męce Chrystusa, księża psałterzem i brewiarzem uderzali o ławki, robiąc tym sposobem „łoskot mały.“ Swawolne chłopcy wypychali bałwana gałganami, przedstawiając sobie w nim Judasza. Jeden z chłopców wychodził z nim na wieżę i zrzucał go, a wtedy drugi, na dole stojący, porwawszy za postronek, uwiązał go u szyi tego bałwana, włóczył po ulicy biegając z nim tu i owdzie. Drudzy za nim goniąc bili go kijmi nieustannie wołając z całej siły: Judasz! Judasz! — dopóki go nie popsuli.“ Przy tym obrządku popełniano wiele nadużyć, bo gdy taka gawiedź z bałwanem spotkała prawdziwego Judę, biła go kijami i plwała nań, że jego przodkowie Chrystusa ukrzyżowali. Z tego powodu obrządek ten, powtarzający się i w wielki piątek, zniesiono oddawna. Wielki czwartek miał także i ma nawet do dziś dnia w obrządkach swoich właściwy charakter. W kościele odprawia się msza święta, po której zazwyczaj pobożni do komunii ś. przystępują, a następnie biskup, przepasawszy się stułą żałobną, święci opłatki i olej. Miast dzwonów używają już od tego czas grzechotek. Grzechotka, jestto narzędzie spore, drewniane, w którem cienka deszczułka, obracając się na walcu drewnianym, pokarbowanym, donośne czyni terkotanie. Klekotka czyli grzechotka kościelna osadzona bywa na kółkach jak taczki. Chłopcy, krzątający się zawsze koło zakrystyi, z upodobaniem na takich klekotkach grzechotając, czynili niemi przykry hałas po ulicach. Na ten dzień przypada także umywanie nóg na pamiątkę wieczerzy pańskiej, odbywane niegdyś z wielką uroczystością. Biskup krakowski umywał w kościele na zamku nogi dwunastu najstarszym dziadom, pod opieką towarzystwa dobroczynności zostającym, a umywał z całą pokorą sługi Bożego i namiestnika Chrystusowego na ziemi. Dziad każdy dostawał na pamiątkę tej uroczystości sowite podarki, a zebrani pobożni budowali się wzorem uległości i pokory najwyższego pasterza. Dziś na zamku biskup nie krakowski (bo joppejski) umywa nogi sześciu kanonikom.... a w całej tej uroczystości niema i śladu dawnej świetności i dawnego uroku. Po domach odbywały się w dzień ten tak zwane wieczerze, na których łamano się po święconem w kościele opłatkiem. Pobożniejsi od tej wieczerzy nie jadali już nic aż do święconego, wszyscy jednakże najściślej tych dwóch dni przestrzegali poszczenie, złamanie postu za wielki sobie grzech poczytując. Gołębiowski pisze, iż nie pijano kawy ze śmietanką, ale z ukropkiem albo z migdałowem mlekiem. Z czasem coraz słabiej chowano tę ścisłość, a tenże Gołębiowski pisze, że za jego czasów mało kto już pościł. A cóż my dzisiaj powiemy? — Po wieczerzy i po umyciu nóg odbywały się po kościołach solenne nabożeństwa z kazaniami i śpiewami, późno w noc przeciągającemi się. Nazajutrz w wielki piątek odbywała się jedna msza tak zwana *przerywana* o męce pańskiej, na której mężczyzni i damy ubrane były czarno. Po mszy składano Pana Jezusa do grobu i odtąd zaczynały się po miastach obchody. Grób Pana Jezusa urządzali księża i kościelni zawsze starannie. „Wszędzie niemal było wyobrażenie Pana Jezusa i Najświętszej Panny bolesnej przy nim, padała się ziemia, obroty niebios były wystawione, mnóstwo lamp i świec jarzących objaśniało to wszystko.“

W Warszawie sadzono się na piękniejsze ustrojenie grobu. U Jezuitów bywał grób z szyszaków, pałaszy i innej broni. Łagodna i smutna muzyka przygrywała z ukrycia. Kitowicz powiada, że groby jaką historyą z starego lub nowego testamentu wyobrażały często ruchomą i przesuwającą się. Tenże świadczy, że najpiękniejsze bywały u Jezuitów i Misyonarzy, najskromniejsze u Pijarów. Za Jana III u grobu w kolegiacie wartę odbywały drabanty królewskie, u świętej Trójcy artylerya konna, karabiny rurą na dół obrócone być musiały. Dzisiaj tak w Warszawie jako też i w Krakowie w jednym lub najwięcej w dwóch kościołach stoją żołnierze przy grobach, wszędzie zaś indziej ustawiają wypchanych rycerzy w ubiorach starożytnych. U Augustyanów w Warszawie odbywały się lamentacye, a w Krakowie w kościele Panny Maryi w piątek, a u śtej Anny w sobotę śpiewają na chórze piękne utwory siedmiu słów Chrystusa Pana, wypowiedzianych z krzyża.

Do pięknych grobów w Warszawie liczono grób u Misyonarzy, w kościele podziemnym, i u Kapucynów z wytryskającą fontanną; w starożytnym śgo Jana, metropolitalnym dziś gmachu, w kościele Aleksandra, gdzie marmurowy posąg Zbawiciela w grobie leżącego; i po niewieścich klasztorach. W klasztorach panieńskich zakonnice starały się zawsze o ustrojenie grobu. Bywały więc, jak to i dziś jeszcze widzimy w Krakowie u Karmelitanek bosych, na Gródku, u śgo Józefa itd. i kwiaty, i ptaszki, i fontanny i krzewy, a w ogóle znać było gust lepszy i słodkie śpiewy. Wszędzie po panieńskich klasztorach w pewnych godzinach wdzięczna odzywała się muzyka. Piękne kwestarki, czarno ubrane, w każdym kościele siedząc, potrząsają tackami, wzywając dobroczynności dla sierot ubogich i kalectwa.

Groby po wsiach nieustępowały miejskim, sadzono się w ich ubraniu na przepych i okazałość: tu wśród morskich bałwanów, straszny wieloryb coraz połykał i wyrzucał Jonasza; tam cudowna łówka ryb ś. Piotra była wystawiona; tu inny jaki przedmiot pobożny. Ogródek przed grobem wzorzysty z pięknie wzrosłego owsa, rzerzuchy, bukszpana; próżne miejsca kolorowym piaskiem wysypane; po stronach drzewka cytrynowe, pomarańczowe i kwiaty, lampy z kolorowemi zasłonami. Bywały też i bywają dzis jeszcze po wsiach i po miastach ruchome obrazy, w kształcie walca obracające się naokoło wewnątrz ustawionego światła, i przedstawiające najczęściej historyą męki Pańskiej. Po wsiach spisywano domowników i rodzinę ich, i... do klęczenia u grobów przeznaczonych, ciągle przywożono i odwożono; muzyka na części podzielona przygrywała nieustannie, lub przyjemne dobranych niewiast i mężczyzn, pobożne śpiewy nucących, słyszeć się dawały głosy.

Po południu w miastach, a nawet i po wsiach zaczynały się procesye i obchodzanie stacyj. W Kalwaryi obrządek ten po dziś dzień uroczyście się odbywa. Na takich procesyach bywał człowiek udający Pana Jezusa, w koronie cierniowej, z łańcuchami, i dźwigał krzyż; dopomagał mu Cyreneusz, otaczali ich żołnierze judzcy,

a kiedy upadał pod tem brzemieniem, płazowano go mówiąc: „Postępuj Jezu!“

Kapnicy w szarych lub kolorowych kapach na pamiątkę ran 5, w tyluż kościołach albo w jednym tyleżkroć biczowali się przez całe *miserere*. Dawali im znak marszałkowie, kiedy krzyżem leżeć, smagać się, krzyż całować, dalszą procesyą rozpoczynać mają. Później dla nadużyć, z tej okoliczności wyrosłych, zniesiono kapników i zabroniono biczowania się publicznego.

Groby obchodzi publiczność przez piątek i sobotę. Zwyczaj nakazuje odwiedzić najmniej pięć kościołów, i w każdym najmniej po pięć zmówić pacierzy. Obchody kończą się resurekcyą czyli uroczystością zmartwychwstania Pańskiego, po którem wesołe Alleluja brzmi po wszystkich kościołach.

My, żegnając szanowne naszeCzytelniczki do widzenia się aż przy Śmiguście i innych obyczajach niezadługo przypadających, pozwolimy sobie tym razem czas obyczajów wyprzedzić i teraz już „wesołego Alleluja“ im z serca powinszować.

OCZY MARYNI.

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Pan Splinowski, któregośmy mieli przyjemność poznać w saniach jako właściciela wąsów, był zarazem posiadaczem dworu, wioski, żony i dwóch dorastających synków, których już także trochę znamy. Był on jednym z tych ludzi, w których pod przykrywką przyzwoitości i ogłady towarzyskiej kryją się brudne namiętności i brzydka dusza; to też, pomimo całej przyzwoitości w zachowaniu się, miał coś w sobie, co odpychało od niego ludzi, i czyniło go niemiłym w towarzystwie. Po krótkiej młodości, w której sobie niczego nieodmawiał, ożenił się dla przyzwoitości, i wcześnie postarzał się. Twarz zwiędła, pożółkła; oczy bez wyrazu, owcze prawie, wyjąwszy wtedy, gdy drwiły — pokazywały brak sił i bezduszność, a usta cierpko zakrojone niezadowolenie z życia. A przecież w tej ruderze człowieka pełzało jeszcze dużo namiętności. Samolub wielki, pasyonat i tyran dla słabszych, tchórz w obec silniejszych — miał często coś cierpkiego na ustach i w oczach: jad szyderstwa i zazdrość obcej radości. W okolicy jednak pan Splinowski uchodził za prawego obywatela i przyzwoitego człowieka. Sąsiedzkich sporów niemiał, bo dbał o reputacyę w okolicy; chłopów nieciemiężył, bo się bał ich zemsty; jałmużnę dawał, pościł, (a jeżli nie pościł, to za pozwoleniem ks. proboszcza); na mszę jeździł co niedziela; a nawet uchodził za wzór mężów. Już co się tyczy tej strony, to było w tem więcej zasługi jego małżonki, niż jego. Gwałtowny i samolub... niesposób, żeby się wstrzymał od scen małżeńskich; ale żona, kobieta sprytna, rozumna, tak umiała panować swojem postępowaniem nad słabościami męża, tak umiała łagodzić potulnością jego pasye, rządzić nim niewidocznie, przytem tak mu stała się konieczną, potrzebną, że pożycie ich zdawało się nic niezostawiać do życzenia; a przecież w tej zręcznej komedyi małżeńskiej pilny postrzegacz mógł dojrzyć tragicznych chwil wiele. Jego szarpała nieraz i gniewała ta niewidomie na nim ciążąca niewola, „ja pan nie pantofel“ mówił; ale zawsze jego chwilowe wybuchy znajdowały żonę potulną, milczącą, i czuł się wtedy jeszcze bardziej zależnym i śmiesznym; więc dla przyzwoitości wracał do dawnego spokoju. Ale jeżeli on miał powód niezadowolenia, o ileż więcej jego żona. Urodzona i wychowana w małem miasteczku, poznała przypadkiem swego męża na jednym baliku—on był wtedy jeszcze przystojny, ona umiała mu się podobać, i w niespełna sześć miesięcy pan Splinowski oświadczył się o jej rękę, także dla przyzwoitości, bo już w miasteczku wiele gadano o jego zamiarach. Niepierwej to jednak uczynił, aż się dowiedział, że jego narzeczona i posag ma przyzwoity i urodzenie jemu odpowiednie. Mógłby był wprawdzie starać się o panny posażniejsze i urodziwsze; ale... niechciało mu się podejmować tyle trudów. Stało się więc, że panna Adela została jego małżonką. Miała ona, jako wychowanka małego miasta, wszystkie tegoż wady, szczególniej dwie: ciekawość do nowinek i ploteczek, i uszczypliwości; pomimo tego dobre strony widocznie w niej przeważały. Kobieta religijna, wesoła, dowcipna, uczynna, miała jakiś talizman w obejściu się i w mowie, co ciągnął serca ludzkie do siebie. Złośliwy dowcip łagodziła wnet tysiącem dobrych słów i uczynków. Pojąć więc łatwo, że kobieta z takiem usposobieniem, z życiem, z ogniem i energią niemogła znaleść szczęścia w pożyciu z wyczerpanym człowiekiem.... to też szukała go w wychowaniu dzieci, w zajęciach gospodarskich, w towarzystwie ludzi, w dobrych uczynkach. Takiemi byli państwo Splinowscy. Ta różnica ich charakteru jeszcze mocniej uwydatniła się w dzieciach. Adaś żywy, energiczny, uporny, a przytem serdeczny i prawy, przypominał matkę, i umiał, jak ona, przywiązywać serca do siebie; przeciwnie zaś młodszy Henryk wrodził się całkiem w ojca, z tą różnicą, że wady starszego wieku, objawiające się w całej pełni w młodym niedorostku, czyniły go obrzydliwym, potwornym.

Do takiego domu dostała się Marynia S. po śmierci swojej matki. Pan Splinowski, jako najbliższy jej krewny, objął opiekę nad nią i nad jej majątkiem, i zajął się jej wychowaniem. Piękne to było dziewczę, ale nad wiek poważne i zamyślone. Przy łóżku matki, przy którem spędziła pierwsze dziecięce lata, dojrzało dziewczątko nagle bez igraszek dziecięcych, bez uciech młodego wieku; długa i bolesna choroba matki oduczyła ją śmiać się i być wesołą. Twarzyczka jej, otulona ciemnemi włosami, uderzała swoją niezwyczajnością; ale szczególniej oczy, wielkie, szafirowe, ciemnemi rzęsami nakryte, uderzać każdego musiała. Twarzyczka była prawie zawsze spokojna, biała; ale w oczach malowało się każde uczucie duszy, i milcząc, temi oczami umiała rozmawiać i opowiadać. Kiedy przyjechała w dom swego opiekuna miała lat ośm, Adaś czternasty, a Henryk o rok był młodszym od niego. Obadwaj cieszyli się nadzieją przyjazdu kuzynki, układali już sobie zabawki i rozrywki; tymczasem usposobienie i obejście się Maryni zniweczyło ich plany. Oni czekali kuzyneczki żywej, śmiejącej się, bawiącej się z nimi, a ujrzeli nudziarkę, jak ją nazywali. Marynia lubiła czytać, modlić się często, grać, co wszystko gniewało chłopców. Dokuczali jej więc wszelkiemi sposobami, i wszędzie pokazywali jej swoją niechęć; byli bowiem w tym wieku, w którym chłopcy są najwięcej złośliwi i samolubni. Ale niechęć do kuzynki u każdego inaczej się objawiała. Henryś złośliwy, słówkami dogryzał dziewczęciu, lubił uszczypnąć, popchnąć; przeciwnie zaś Adaś gwałtownie wybuchał, namiętnie rzucał się rozdrażniony spokojem Maryni; ale ta burza wnet cichła i opadała. Ale ani na jednego ani na drugiego żadna skarga nie wyszła z jej ustek, znosiła cicho w milczeniu, co Henrysia ośmielało do większej złośliwości, a Adasia rozbrajało.

Raz, było to w dzień imienin ich matki, chłopcy nalegali, by zrzuciła żałobę i w białą sukienkę się ubrała.

— Ależ moi kochani — prosiło dziewczę — wszak wiecie, że nie dla kaprysu noszę czarną sukienkę.

— Dziś niemożesz wejść do salonu czarno ubrana, bo i mamie humor popsujesz i nam zabawę — mówił Henryś.

— To niewejdę do salonu.

— Przecież żałoba ci się dawno skończyła — już drugi rok idzie.

— Czy ty myślisz Adasiu, że przez rok można zapomnieć matki?

Za parę godzin wyszła ze swego pokoiku, w czarnej sukience baryżowej. Chłopcy już w salonie niecierpliwie na nią czekali. Zobaczywszy czarną sukienkę, obaj gniewni przyskoczyli do niej.

— Maryniu! czemu ty mnie wciąż drażnisz? — krzyknął rozogniony Adaś.

— Adasiu! — prosiło dziewczę — com ja ci winna?

— O! zostawmy ją w tych czarnych gałgankach, kiedy je tak lubi — mówił złośliwie Henryś i targał jej falbanki sukni.

— Gdzie ciocia? muszę jej powinszować — i szła do dalszych pokoi.

— Ja cię tak niepuszczę do mamy — rzekł Adaś i uchwycił ją za suknię tak mocno, że dziewczę zachwiało się i upadło, uderzając głową o krawędź kanapy. Zemdlała — Henryś się zląkł tej sceny, i... bojąc się odpowiedzialności — uciekł. Adaś został chwilę nieprzytomny, potem porwał ze stolika karafkę z wodą i począł trzeźwić Marynię. Ona po chwili otworzyła oczy, jak zawsze bez wyrzutu, i spojrzała niemi na Adasia boleśnie, głęboko, że chłopiec musiał całej siły użyć, by się nie rozbeczał przed nią.

— Zaprowadź mnie do mego pokoiku, bom słaba trochę — rzekła Marynia i poszła niepewnym krokiem wsparta na jego ramieniu.

— Maryniu! ty musisz bardzo gniewać się na mnie?

— Nie mój Adasiu! ja już przyzwyczaiłam się do tego... idź powiedz cioci, że ja słaba.

Adaś wzruszony wyleciał na ogród, rzucił się w najodleglejszą aleę ogrodu i latał długo — potem i chustki dobył — potem siadł na ławce zmęczony. Trudno opisać, co się działo w piersiach chłopca — żal, wstyd — a te oczy, te wielkie szafirowe oczy wciąż na niego patrzały spokojnie, łagodnie, boleśnie — i zamiast złośliwości chłopięcej poczęło w Adasiu budzić się jakieś uczucie nieokreślone jeszcze, smętne, tęskne, a dziwnie piękne; w tej chwili Adaś wychodził z chłopięcych lat.

Odtąd Adaś dziwnie zmienił się w postępowaniu. Dziki, burzliwy, gwałtowny... czasem stawał się rzewny, zamyślony. Odtąd często wpatrywał się w zachodzące słońce, lubił księżyc; lubił latać po polach na koniu, puściwszy cugle koniowi i myślom; marzył o bohaterskich czynach; zgoła przechodził całe pogańskie niebo młodzieńczych marzeń, a zawsze i wszędzie oczy Maryni patrzały na niego. A szczególniej zmienił się w postępowaniu dla Maryni. Dawniej niegrzeczny dla niej, gwałtowny — teraz stawał się w obec niej nieśmiały, skromny, uprzedzający jej życzenia; z każdym dniem rozumiał więcej smętną a bogatą duszę dziewczynki, i codzień wydawała mu się piękniejszą. Bo też rzeczywiście Marynia z każdym dniem pięknialа, rozwijała się. W dwunastym roku była już panienką tak poważną, że i goście już nieośmielali się więcej nazywać jej Marynią. Podrosła, wiotka, zgrabna, giętka; twarzyczkę białą opromieniał lekki rumieńczyk, że była podobna białej różyczce, co się w głębi zapłoni lekko; a na zgrabnem czółku była jakaś chmurka wiecznego smutku, który całą jej twarz czynił lekko zamgloną. Są dzieci, które rodzą się z takim smutkiem. Dodajmy do tego anielski spokoj i łagodność, a niebędziemy się dziwili, że oczy Maryni tak panowały nad Adasiem. Gdy czasem był rozgniewany, dziki, zły — potrzeba było tylko oczu Maryni, by z ichnął, spokorniał. I tak raz koń zrzucił go w obec gości, zawstydzony i rozgniewany kazał konia przywiązać do słupa, i wziąwszy od jednego z parobków kija, niemiłosiernie pastwić się począł nad koniem, aż chłopów gorszyła ta scena. Przypadkiem wtedy Marynia, wracając z ogrodu, przechodziła tamtędy, stanęła chwilkę i popatrzyła się na brzydką scenę. Adaś obejrzał się, zobaczył wielkie szafirowe oczy, opuścił ręce, zawstydził się swej zwierzęcej złości i uciekł.

Henryś w niczem się nie zmienił, złośliwy i uszczypliwy był jak dawniej, a gdy Marynia podrosła, chłopięcą złośliwość, objawiającą się rażąco, zmienił na pogardliwe uśmiechy i złośliwe ucinki.

Tak minęło lat kilka. Marynia podrosła w śliczną pannę, chłopcy wyrośli na młodzieńców. Zobaczyliśmy ich już w saniach, i z kilku słów rzuconych można było odgadnąć jakiemi byli; a szczególniej Adaś.

Chodzić po nocy, wśród śniegów szukać książki do nabożeństwa, narażać się na zimno i wilków — to tylko zakochani mogą i umieją. I rzeczywiście kochał się Adaś, może go i Marynia kochała, on o to nie pytał, bo pierwsza miłość najmniej samolubną, zazdrosną: ją tak mało zadowolić może.

Już rano było blisko, kiedy Adaś i Maciuś wrócili do dworu pomęczeni — Adaś był wesół, leciał prędko, widać nie daremnie chodził — Maciuś trząsł się od zimna i śmiał się jak zawsze. *(C. d. n.)*

TEATR.

W sobotę tj. d. 5go b. m. odegrali w tutejszym teatrze amatorowie dwie sztuczki: „Łzy kobiece“ i „Łobzowianie,“ na dochód ubogiej młodzieży instytutu technicznego. Teatr był przepełniony tak, że na powszechne prośby sztuczki te powtórzyć musiano w poniedziałek i teatr równie był pełny.

Teatr amatorski z tym większem witano upragnieniem, że już dawno niemieliśmy podobnej przyjemności; a do tego gra amatorów przewyższyła oczekiwanie. Szczególniej panie odznaczały się grą wyborną. Zofia i Aniela grały z taką lekkością, naturalnością i wdziękiem, że musieliśmy zapomnieć o tem, że pierwszy raz wystąpiły na deski teatralne. Babiński grał z życiem i pewnością; również dobrze grali Wojski i Jan.

W „Łobzowianach“ Zosia i Kasia pojęły pięknie swoje role. Pierwsza grała pannę młodą nietylko z prawdą, ale i z poezyą. Liryczny nastrój i smętność były koniecznym urokiem wiejskiej dziewczyny w przedślubnej chwili; jak znowu swoboda i wesołość całkiem odpowiadały roli i usposobieniu druchny Kasi, której naturalność i wdzięk w ruchach i śpiewie podziwiać musieliśmy. Protazy grał wybornie. Gra Magdaleny nie zostawiała nic do życzenia. Krakowiaki Łobzowianek i Łobzowianów na długo i mile zostaną w pamięci naszej.

Pomiędzy pierwszą a drugą sztuką odegrał amator na skrzypcach: „Koncert militarny“ Lipińskiego i „Mazur“ Michała Jelskiego.

Po skończeniu drugiej sztuki p. Duleba odegrał na fortepianie kilka sztuk z Liszta, Chopina i Wieniawskiego. Gra pana Duleby nas oczarowała, jak również ujęła nas ta gotowość z jaką artysta spieszy ze swym talentem tam, gdzie cel piękny i poczciwy.

Widowisko zakończył pięknie ułożony żywy obraz, przedstawiający cztery pory roku — dzień i noc.

Korespondencya od Redakcyi.

Panu A***, nie technikowi, w Krakowie. Wierszyka pańskiego do jednej z pań grających w teatrze amatorskim, umieścić niemogliśmy z powodu, że w tym hołdzie, oddanym jednej, byłaby obraza wielu, którym także należy się wdzięczność za ich dobroć i gotowość w przyjęciu udziału w teatrze. I dla tej samej przyczyny uważaliśmy za niestósowne pojedynczo wywoływanie w teatrze grających.

Wdzięczność i pochwała wszystkim się należy.

Załączamy mody paryskie dla prenumerujących na nie za miesiąc Marzec; oraz dołączamy DESENIE dla Wszystkich Prenumerujących bezpłatnie, a opis ich umieścimy w przyszłym numerze.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.